

# Z Manetem spotkanie drugie

BOGDAN BAK

**M**IELISMY już okazję zetknąć się z dramatopisarstwem Eduarda Maneta. Przed kilkoma laty Teatr Współczesny prezentował jego „Mniszki”, a była to — o ile się nie mylę — ostatnia wrocławska realizacja Jerzego Jurockiego.

Nieprzypadkowo wspominam o tym. Sytuacja wyjściowa obu dramatów (tzn. „Mniszek” i „Jednookiego”) jest niemal identyczna: trzech mężczyzn jedno odizolowane wnętrze, którego opuścić nie można. Słuszniej: można, ale dopiero po spełnieniu określonych warunków. Tu i tam zza murów dobiegają tylko echa świata zewnętrznego: zbliżające się, narastające pogłosy rewolucji (może tylko „rewolty” w „Mniszkach”), ryk wygłodniałych lwów oczekującego igrzysk rzymskiego tłumu w „Jednookim”.

Można zapewne odkryć także inne związki między oboma utworami, choć i rozbieżności są także zasadnicze. „Jednooki” wydał mi się bardziej „europejski”. Jeśli w „Mniszkach” frapowały przede wszystkim latynoskie obsesje i fascynacje, to nową sztukę Maneta wywieść można z doświadczeń teatru europejskiego od Szekspira poczynając a na Brechtie kończąc (mamy przecież i coś w rodzaju songu).

W ogóle dziwna to sztuka. Kiedy już zaczyna się człowiek domyślać „co autor chciał nam przez to powiedzieć”, następuje wolta i okazuje się, że chodzi o coś zupełnie innego. Najpierw mamy więc studium człowieka w stanie najwyższego zapożyczenia, człowieka odkrywającego swe najtajniejsze, ale też najbardziej obrzydliwe, wnętrza. Można inaczej: rzecz o człowieku miotającym się między biegunami, przy czym każda decyzja jest klęską. Albo: obnażenie przyziemnego praktycyzmu naszych ludzkich marzeń. Potem — i to wydało mi się najciekawsze — rysuje się coś jakby pamflet przeciw nawiedzonym apostołom, fanatycznym prorokom. Kiedy jednak okazało się, że ów apostoł jest tylko cynicznym prowokatorem, wszystko przestało mnie bawić.

Oczywiście „Jednookiego” można odczytywać jeszcze inaczej. Nie wiem tylko czy zachwycić się „głębią” i „pojemnością” dzieła, czy też krzywić się na brak myślowej precyzji. Zastrzeżenie: nie znam

tekstu autorskiego, mogę mówić jedynie o wersji zaprezentowanej przez Wandę Laskowską na scenie Teatru Kameralnego.

Przedstawienie ma oczywiste walory — niezłe tempo, sporo interesujących sytuacji i reżyserskich pomysłów, dwie co najmniej bardzo udane propozycje aktorskie, wreszcie atakujące wyobraźnię „prowokacyjną” choć „obiektywną” brzydota dekoracji Zofii Pietrusińskiej. Jest jednak także rzecz, która drażniła mnie szczególnie. Myślę tu o manierystycznie panoszącym się ostatnio w naszych teatrach składniku widowiska określanym jako „ruch sceniczny”. Tym razem irytowało nie tylko samo pojęcie, lecz także konkretne działania wymyślone

przez Zygmunta Rozlacha. Można je określić jako „pseudomowne quasi brutalności”. Osobiście wolabym więcej „prawdy” (scenicznej oczywicie) mniej stylizowanego „markowania”. Pomogłoby to reżyserowi budować nastrój, tworzyć napięcia.

Dwa moje typy aktorskie to Witold Pyrkosz (Tibulus) i Andrzej Hrydzewicz (Cumulus). Pyrkosz raz jeszcze potwierdził skalę talentu i wrażliwości. Po baśniowym i farsowym wcieleniu w „Turandot” równie precyzyjnie a przede wszystkim prawdziwie buduje postać drobnego (czy naprawdę drobnego?) cwaniaka, człowieczka podłego, ale i nieszczęśliwego zarazem. Andrzej Hrydzewicz miał bodaj trudniejsze jeszcze zadanie, postać to bowiem najbardziej skomplikowana, oparta na skrajnych odruchach, a przecież aktor w pełni ją uwierzytelnił. Mniej precyzji dostrzegłem w propozycji Wojciecha Małca (Martibus). Dodam, że w momentach bardziej drapieżnych i dynamicznych pobrzmiewała nuta fałszu. Grający rolę tytułową Erwin Nowiaszak za wcześniej i zbyt natrętnie obnażał a nawet demaskował swego bohatera. W konsekwencji finał (zastoczenie) jakby nie wypadł. Winą obarczam nie tylko sprawnego warsztatowo Nowiaszaka, także reżyserskie ustawienie.

Sympatycznym, choć milczącym „przerwywnikiem kobiecym” w tej „męskiej” sztuce była Dziewczyna Ewy Kamas.

Publiczność nader gorąco przyjęła premierowy spektakl: widocznie ja jestem nieco bardziej krytyczny. A to już dowód, że jest się o co sprzeczać, że nie można obok widowiska przejść obojętnie.

P.S. Jeśli wierzyć materiałom zawartym w programie paryska prapremiera miała charakter komedii. Realizacja wrocławska komedią (nawet czarną) nie jest na pewno, nie jest też tragedią, ani ludzkim dramatem.

Teatr Polski we Wrocławiu. Eduardo Manet „Jednooki” (Holocauste ou Le Borgne). Przekład Ewa Fiszer. Reżyseria Wanda Laskowska. Scenografia Zofia Pietrusińska. Muzyka (interesująca) Zbigniew Karnecki. Ruch sceniczny Zygmunt Rozlach. Prapremiera polska 13 lutego 1975.



Witold Pyrkosz w sztuce „Jednooki”.

Fot. T. Drankowski